ROK VI. CHICAGO, dnia 4go PAŹDZIERNIKA, 1888. No. 40



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: W. Smulski, 635 Noble st. Chicago.

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Swięty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

CHICAGO, dn. 3go Stycznie R. P. 1883.

+ P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagoski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI·
Czwartek, 4 października	Franciszka Serafickiego.	Bratysław.
Piątek, 5 października	Placyda i Flawii.	Zasław.
Sobota, 6 października	Brunona wyz.	Bronisław.
Niedziela, 7 października	20-ta po Św. Justyny p.	Rosława.
Poniedziałek, 8 październ.	Brygidy i Pelagii.	Wojsława.
Wtorek, 9 października	Dyonizego męcz.	Dogomost.
Sroda, 10 października	Franc. Borg. W.	Tomił.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XX-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Jana w rozdz. IV. od w. 46 *do* 54.

W owym czasie był pewny królik, którego syn chorował w Kafarnaum. Ten gdy usłyszał, iż Jezus przyszedł z Żydowskiej ziemi do Galilei, poszedł do Niego i prosił Go, aby zstąpił i uzdrowił syna jego, bo poczynał umierać. Rzekł tedy do niego Jezus: Jeźli znaków i cudów nie ujrzycie, nie wierzycie. Rzekł do niego królik: Panie! zstąp pierwej, niż umrze syn mój. Rzekł mu Jezus: Idź, syn twój żyje. Uwierzył człowiek mowie, którą mu powiedział Jezus, i poszedł. A gdy już był zstępował, zabieżeli mu słudzy i oznajmili mówiąc, iż syn jego żyje. Pytał się tedy od nich godziny, której mu się polepszyło, i rzekli mu, iż wczoraj o siódmej godzinie gorączka go opuściła, Poznał tedy ojciec, iż owa godzina była, której mu rzekł Jezus: Syn twój żyje. I uwierzył sam i wszystek dom jego.

CORKA SYBIRSKIEGO WYGNAŃCA.

Powieść z niedalekiej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ TRZECI.

W kilka tygodni później powrócił Smołów z Tobolska i udał się natychmiast do chaty wygnańców. Przyniósł on Feodorze pozwolenie, którego sobie życzyła. Ona i Marta mogły teraz każdej nieuzieli udawać się na nabożeństwo do Saimki. Pozwolenie to jednak nie rozciągało się na Wschodnika; rozkazy cara co do jego osoby były tak surowe i stanowcze, iż życzliwy gubernator nie śmiał wprowadzić jakichkolwiek ulg w jego życie. Toż i synowi pozwolił odwiedzić wygnańców, ale po raz ostatni! Młodzieniec bardzo się tem zasmucił; skoro się atoli do mieszkania Marty zbliżył, zamienił się jego smutek w radość. Uczucie to napełniło także mieszkańców chaty, kiedy on przyniósł Feodorze upragnione pozwolenie.

Młody Smołów bawił długo w chacie; musiało się mu w niej bardzo podobać, co tem więcej zadziwiającem było, ile że on u ojca przywykł do mieszkania o wiele wspanialszego, a jako oficer carskiej gwardyi miał w petersburskich pałacach wstęp i krewnych. Oko jego śledziło wszelkie ruchy Marty tak, iż rodzice tak wyraźnie jego przychylność zmiarkowali, jak gdyby ją był slowami wypowiedział.

Wieczorem oświadczył Smołów, że wprawdzie za dlugo nieco zabawił, atoli chciał skorzystać z czasu, gdyż musiał ojcu święcie przyobiecać, że tylko jeszcze jeden raz przestąpi próg tego domu. Na te słowa pokraśniała i przelękła się Marta, mówiąc: „Jakto? a więc pana już nie zobaczę więcej?“

Smołów odrzekł żywo: „O, jak długo potrwa mój urlop, nie opuszczę Saimki — będę panią widział w lesie, na równinie, na brzegu rzeki...“

Nagle zatrzymal się, jak gdyby uczuł, że za wiele powiedział. Atoli Marta pojęła go w innej myśli, niż on sądził;

w słowach jego znalazła ona pewność, że mu będzie mogła powierzyć swe plany i pewna tej nadziei mniej już ubolewa nad jego odejściem.

Kiedy nadeszła niedziela, wybrała się Feodora z Martą do kościoła w Saimce. Wschodnik pożegnał je z uciśnionem sercem, gdyż w całym czasie wygnania dopiero po raz pierwszy sam w domu zostawał. Pogoda była piękna; droga stawała się dla niewiast krótką; młoda tatarzynka prowadziła je przez las aż do wsi Saimki. Po serdecznej modlitwie podczas mszy świętej w kościele podniosła Marta spuszczoną dotychczas ku ziemi głowę i spostrzegła młodego Smołowa, który w pobliżu oparty był o słup i czułem okiem na nią spoglądał. Marta pozdrowiła go w miłem zapłonieniu. Smołowa przywitanie to wzruszyło. Spojrzenie jej pięknego oka zdawało się zgadzać z tem, co w własnem znachodził sercu. Kiedy Feodora z Martą wyszły z kościoła, zabrał je Smołów do swych sanek, aby je odwieść aż tam, gdzie się las rozpoczynał. Sanki dotarły do jego pierwszych drzew; Smołowi zdała się jazda zbyt szybką - nie stanął, ale pojechał aż na brzeg jeziora. Tutaj atoli musiał się zatrzymać. Feodora wysiadła najpierw; a kiedy Smołów Marcie podał rękę do wysiadania, rzekł: „Czy pani nie przychodzisz tutaj czasem spacerować?“ Marta odpowiedziała szybko, lecz cicho: „Nie tutaj, ale jutro do kaplicy w równinie!“ Kiedy następnie z matką szły ku chacie, powracał Smołów przez las sam, zatopiony w zachwycających marzeniach. Z tego, co dopiero słyszał — czyż nie mógł upatrywać w tej myśli szczęścia?

Marta udała się następnego poranka do leśnej kaplicy nie z tą trwogą, jakiej doznaje dziewczyna, gdy czyni krok śmiały, ale z pewnością niewinności. Chód jej był lekki i szybki — wszakże czyniła pierwsze kroki do uwolnienia ojca. Gdy weszła do kaplicy i jeszcze się modliła, zjawił się w niej Smołów. Skoro go Marta zoczyła, pobiegła ku niemu i rzekła z miłym wdziękiem: „Ach, panie, z jakąż niecierpliwością oczekiwałem pana!“

Słowa te, wyraz jej oczu, schadzka, punktualność, z ja-

ką się stawiła — wszystko to utwierdziło młodzieńca w przekonaniu, że jest kochany. Miał jej właśnie oświadczyć miłość wzajemną; ale ona przerywa mu mowę słowami: „Panie Smołów, posłuchaj mię pan: potrzebuję pańskiej pomocy do ocalenia ojca, przyrzeknij mi pan takową.“

Zakłopotany i z toru zbity Smołów obiecuje wszystko uczynic, czego od niego zażąda, jeśli to będzie w jego mocy. „Panie Smołów!“ rzekła Marta dalej — „zamyślam udać się do Petersburga, aby uprosić tam ułaskawienie mego ojca. Myśl ta nie opuszcza mię ani we dnie, ani w nocy, na jawie i we śnie; zatrudniała mię ona zawsze, ilekroć pana widziałam, zaprowadziła mię ona dzisiaj w to miejsce i napawa mię odwagą trudów, przeciwności, nędzy, a nawet samej śmierci nie boję się!“ — Smołów podziwiał bohaterską odwagę dziewczęcia i rzekł: „Jest to dla mnie szczęście że pani nie znasz przeszkód, które w drodze stoją jej planowi.“ „Znam ich tylko dwie:“ odrzekła Marta — „nie znam drogi i nie jestem pewną, czy moja ucieczka ojcu nie zaszkodzi. Podaj mi pan jednak nazwiska miast, przez które moja droga prowadzi, i gospody, które mię w ubóstwie przyjąć mogą, tudzież środki, zapomocą których mogłabym mą prośbę przedstawić carowi. Przedewszystkiem zaś powiedz mi pan, czy pański ojciec nie ukarze mojego z powodu mego wydalenia się?“

„Ojciec mój posiada dobre, litościwe serce, lecz pomódz pani nie może, ale zaręczam, że jej ojca z pewnością z tego powodu nie ukarze, gdy ma tak cnotliwą córkę. Ale czy pani wiesz, że car jej ojca uważa za śmiertelnego wroga?“ — „Nie wiem, o jaką zbrodnię jest obwiniony, nie znam ani jego ojczyzny, ani prawdziwego nazwiska; wiem przecie, że jest niewinny.“

„Jakto, pani nie znasz słynnego nazwiska i wysokiej godności swego ojca?! A pomimo to chce pani podjąć się trudów tak dalekiej i uciążliwej podróży, aby uszczęśliwić rodziców? Zaiste! jej szlachetne usposobienie góruje nad jej świetnym rodem, którego się pani nie domyślasz; czemże są takie cnoty w obec nazwiska córki...?“

„Nie kończ pan!“ zawołała żywo Marta — „nazwisko to jest tajemnicą mego ojca; a ja mogę się o niem dowiedzieć tylko od ojca samego.“ „Masz pani słuszność;“ odrzekł młodzieniec — „a jej ojciec może być z tego dumny, że ma tak skromną, cnotliwą córkę. Marto, przebacz mi, że mimowolnie moje serce się oświadczy. Wiem o tem dobrze, że w twem sercu nie ma dziś miejsca dla innego uczucia oprócz dziecięcej miłości względem rodziców; dlatego dla siebie niczego nie oczekuję. Atoli jeśli nadejdzie dzień, gdzie twoi rodzice odzyskają ojczyznę i szczęście, gdy się twoje serce uspokoi — wówczas przypomnij sobie, że cię Smołow w tej pustyni zobaczył i pokochał i żeby był wolał żyć w ubóstwie i zapomnieniu z Martą, córką wygnańca, aniżeli dojść do najwyższych dostojeństw, do których ma drogę otwartą.“

Marta była dziecięciem przyrody, nie znała ona zwyczajów dobrego tonu — atoli wrodzona wstydliwość powiedziała jej, że po wyznaniu, jakie dopiero co usłyszała, nie może dłużej pozostać sam na sam z młodzieńcem. Zbliżyła się do drzwi.

„Marto, czy cię obraziłem?“ zawołał zalękniony Smołów — „ani myślałem o czemś podobnem. Bóg mi jest świadkiem, że nie samę miłość, ale i najgłębszy szacunek dla ciebie czuję; jeśli rozkażesz: potrafię milczeć i umrzeć — jakżeż mógłbym był chcieć tak cię obrazić?“

„Nie obraziłeś mię!“ — odrzekła Marta łagodnie — „ale ja tutaj przyszłam tylko po to, aby mówić w interesie rodziców. Pan słyszałeś wszystko — więcej nie mam mu nic do powiedzenia.“

„Tak pani! odkryłaś mi swój plan; a ja pani dopomogę, ile to będzie w mej mocy. W niedzielę dam pani w Saimce w kościele po nabożeństwie wszelkie potrzebne pisemne notatki.“

Marta podziękowała; a następnie rozeszli się oboje. Marta udała się istotnie do kościoła z matką; atoli Smołowa tam nie było. Powiedziano tylko Marcie, że on przed dwoma dniami do Tobolska odjechał. Zmartwiło to bardzo bie-

dną Martę, która przez całe dwa miesiące w każdą niedzielę do Saimki się udawała w nadziei spotkania Smołowa — ale nadaremnie! Dowiedziała się nawet, że on Tobolsk opuścił. Nieszczęśliwa Marta straciła teraz wszelką nadzieję; nie wątpiła już, że Smołów o niej całkowicie zapomniał; myśl ta wyciskała jej często łzy z oczu. Zima miała się wreszcie ku schyłkowi. Z końcem kwietnia zaczął śnieg topnieć; piaszczyste ostrowy jeziora pokryły się skąpą zielenią; tarnie okryły się białem kwieciem niby płatkami śniegu, dzwonki z modrymi kielichami, ostromlecz puchaty i nadobne stokrótki ozdobiły step. Stada drozdów spadły na obnażone drzewa i pierwsze przerwały głuchą ciszę zimy. Na brzegach rzeki uwijały się już perskie kaczki o różowem pierzu, czarnym dzióbie i modrym na głowie czubku, które, kiedy się do nich strzela, przeraźliwie krzyczą. W oczeretach nad bagnami roiło się jeszcze wiele innego ptactwa: zanosiło się na wczesną wiosnę w Syberyi.

Pewnego dnia zatrudnieni byli przed południem w ogrodzie Wschodnik i jego córka Marta. Być może, iż Marta w smutnych myślach, które jej duszę wzruszały, zapomniała o obecności ojca. Naraz spostrzegł tenże, że ona płacze. „Co tobie, Marto?“ zapytał z trwogą — „dlaczego płaczesz?“

„Mój ojcze!“ — odrzekła Marta - „nie zatrzymuj mię tutaj dłużej; wszak wiesz, że chcę odejść, pozwól mi udać się do Petersburga, abym was mogła z wygnania oswobodzić. Czuję, że mię sam Bóg do tego wzywa...“ Jeszcze tych słów nie domówiła, gdy nadbiegła młoda tatarzynka wołając: „Pan Smołów, nadchodzi pan Smołów.“

Marta wydała okrzyk radości i rzekła do ojca: „Widzisz ojcze, że sam Bóg chce tego: posyła mi On tego, który mi drogę utoruje.“ Następnie, nie czekając odpowiedzi i biegnie na spotkanie Smołowa. Wchodzi ona do izby i widzi tam mężczyznę 50-letniego w świetnym uniformie jenerała otoczonego kilkoma oficerami. Zalękniona ukryła się za Feodorą, zaczęła drżeć na ciele; a jej oczy zaszły łzami. Gubernator Tobolska, jenerał Smołów oddala świtę i zwraca się z mową do Wschodnika: „Mój panie, odkąd roztropność

rosyjskiego dworu uznała za konieczność zesłanie pana w tę stronę, po raz pierwszy dzisiaj przybywam w tę dzielnicę i cieszę się, że mogę tak słynnemu wygnańcowi okazać współczucie w jego nieszczęściu; ubolewam jednak, iż w poczuciu obowiązku nie mogę mu pomódz i uwolnić go."

„Niczego się od ludzi nie spodziewam, mój panie!" odrzekł zimno Wschodnik — „spędzam dni moje w tej puszczy bez narzekań."

„Ach!" — odrzekł wzruszony gubernator — „dla człowieka, jakim pan jesteś, musi być strasznem uczuciem: żyć zdala od ojczyzny."

Smołów poznał wreszcie Martę, która się nieco twarzą z za ramienia matki wychyliła — gdyż mu o niej syn często i wiernie opowiadał. „Panienko!" rzekł jenerał uprzejmie — „mój syn panią zna; uniósł z sobą niezatarte wspomnienia o pani." — „A czy panu mówił," — przerwała żywo Feodora — „że ona jemu zawdzięcza życie ojca?"

„Nie, pani! odrzekł gubernator — „ale mi powiedział, iżby chętnie oddała życie za rodziców. Panno Marto! będzie temu trzy miesiące, odkąd mój syn otrzymał rozkaz od cara udania się do armi w Liwonii. Musiał to natychmiast uczynić. Zanim mię opuścił, zaklinał mię, aby pani list doręczyć. Nie mogłem go dotąd nikomu powierzyć, sam tylko mogłem to uczynić — o to jest!" Marta odebrała list z zapłonieniem. Gubernator zwrócił się znowu do Wschodnika: „Szczęśliwy ojciec, który taką córkę posiada!" Przywołał następnie świtę i mówił dalej głosem, pełnym godności: „Pan o tem wiesz, że mu jest wzbronionem, przyjmować u siebie kogokolwiek; jeśliby atoli do pańskiej chaty zapukali w najbliższych dniach ubodzy misyonarze, powracający z Chin do ojczyzny, natenczas wolno panu przyjąć ich w dom na jednę noc."

Po odejściu gubernatora otworzyła Marta drżącą ręką list Smołowa, przejrzała go szybko i dała następnie do odczytania ojcu, który w nim następujące wyrazy wyczytał:

„Ubolewałem całą duszą w nagłem wydaleniu się z Saimki, iż nie mogłem do Pani napisać i dać Jej żądane wy-

jaśnienia — inaczej musiałbym był postąpić sobie przeciw najsurowszym rozkazom ojca i narazić jego bezpieczeństwo na szwank. Możebym był to i uczynił bez przykładu, jaki mi Pani dałaś. Nauczywszy się od Niej, co się winno ojcu, nie mogłem jego życia narażać na niebezpieczeństwo. Wyznam Pani, iż mniej od Niej miłym mi był obowiązek; to też przybyłem do Tobolska z rozdartem sercem. . Otworzyłem ojcu serce, mówiłem mu o Pani — wzruszyłem go aż do łez, kiedym mu o Jej planie opowiedział. Sądzę, żeby chciał z panią się widzieć, i że dlatego tej wiosny odwiedzi iszyński powiat. Odda on Pani mój list. Marto, odjeżdżam spokojniej, pozostawiając Panią pod opieką mego ojca. Zaklinam Panią jednak, abyś Pani nie myślała o wykonaniu Swego planu przed mym powrotem. Mam nadzieję, iż zanim rok ubiegnie, do Tobolska powrócę, a wtenczas poprowadzę Panią do Petersburga, przedstawię Ją carowi — czuwać będę nad Panią w długiej podróży. Nie lękaj się Pani bynajmniej mojej miłości, nie będę już o niej mówił: będę dla pani tylko przyjacielem, bratem. Jakkolwiek służyć Jej będę z wszelką żywością i namiętnością, przysięgam Pani, że tylko tą mową, jakiej Pani używasz, tj. mową niewinności do Niej przemawiać będę.“ Na dole tego listu był następująco dopisek gubernatora:

„Pani! nie z mym synem powinnaś tę podróż odbywać. Nie wątpię o jego uczciwości i honorze; atoli także honor Pani nie może być narażonym na podejrzenie. Jeśli Pani okażesz na dworze w Petersburgu cnoty, zbyt rozrzewniające, aby nie miały odnieść skutku, natenczas nie możesz Pani dawać przyczynę do podejrzenia, że Pani oblubieniec towarzyszył, a tem samem zatrzeć najpiękniejszy rys dziecięcej miłości, którą Pani w tak wysokim stopniu celujesz. W jej położeniu nie ma dosyć godnego obrońcy Jej niewinności oprócz Boga i Jej Ojca. Ponieważ Ojciec Pani towarzyszyć nie może – Bóg pani nie opuści. Religia będzie Jej ochroną, nie zapominaj Pani, że misyonarze, o których mówiłem, odbędą podróż do Petersburga. Oddając Pani to pismo uczyniłem wszystko, coby mogło być w innych oko-

licznościach zgubą dla mnie — lecz to mię nie niepokoi: wiem, komu zaufałem i czego się można spodziewać po wytrwałości i cnocie córki, która jest gotowa dla poświęcenia życia dla rodziców.“ C. d. n.

Starosta Kaniowski.

Zachwycając się śmiesznościami i dziwactwami księcia Karola Radziwiłła, jeden z naszych pisarzy zaszedł nawet aż do uwielbienia szalonych i niemal zawsze okrutnych wybryków, smutnej pamięci starosty Kaniowskiego. A jednak, zamiast upatrywania w tem dowcipu, obowiązkiem każdego człowieka byłoby raczej opłakiwać, lub wspominać ze zgrozą pamięć tych dzikich i oschłych ludzi, którzy mając złożone w swym ręku od Opatrzności niezliczone sposoby do przyświecania czynem i przykładem swym młodszym braciom, w całem swem życiu poniewierali tylko dary boże i rozszerzali dokoła własne upodlenie. Takim był właśnie niestety starosta Kaniowski. Pan milionowy, dziedzic jednego z najpiękniejszych i najszanowniejszych imion — a czemże się zaprzątał? Przystrojony po kozacku i otoczony zgrają swych nieodstępnych *mołodców*, trawił dni i noce na burdach, napadach i na najgminniejszej, najczęściej karczemnej hulance. Potrzeba upaść zbyt nizko, by ukochać podobne życie i zrobić sobie zeń jedyne zadanie. Boleśnie pomyśleć, że to się działo tak niedawno, i że szaleństwo, które w każdym z ościennych nam krajów pośpieszonoby wnet i bez wrzawy ukryć w szpitalu, u nas broiło jawnie, samopas i z podniesioną głową. Wymienimy kilka przykładów z nieskończonej prawie kroniki tego na nieszczęście długiego życia, które możnaby nazwać ciągłem bezprawiem, i zobaczymy, czy gdzieindziej w podobnych przykładach widzianoby i ścierpiano tylko dowcipne wybryki.

Pan starosta przejeżdża ze swą drużyną. Wtem spotyka starą żebraczkę, która z głębokim ukłonem wyciąga doń rękę o jałmużnę. Wesoła myśl przychodzi panu staroście.

— Słuchaj babko! masz oto dukata, ale wleź na tę czereśnię i zakukaj na szczęśliwą podróż.

Biedna starowina na widok złota, z którem nigdy może nie spotkała się w życiu, zbiera ostatnie siły, gramoli się na drzewo i drżącym od znużenia głosem zaczyna kukać.

Nagle rozlega się wystrzał, i cha! cha! cha! — woła uradowany pan starosta — zabiłem kukawkę.

Pijana czereda grzmiącym śmiechem wtóruje panu — i jedzie dalej.

Innym razem żyd jakiś, jadący z pilnym listem z daleka, spotyka nieszczęściem kawalkadę pana starosty; obcy w tej okolicy, ani się domyśla, że powinienby coprędzej albo zawrócić, albo skoczyć na stronę.

— Ha! ha! — woła pan starosta rozpoznając podróżnego — więc już doszło do tego, że i niedowiarki pędzą w galop po naszej świętej Humańszczyźnie! A powieście mi no tego Barabasza!

Właściciel miasteczka, z którego powieszony był rodem, zapozwał pana starostę do sądu o zabójstwo. Pan starosta odpowiedział na wezwanie sądowe, że gotów stokrotnie wynagrodzić szkodę, ale sądzić się nie będzie. W rzeczy samej, rozkazał natychmiast w najpierwszem ze swych miasteczek nachwytać całą furę żydów, naładował nimi ogromny wóz ukraiński i ucisnąwszy z góry tak nazwanym rablem, to jest drągiem, którym się umocowują snopy przy przewożeniu, odesłał ten transport swojemu sąsiadowi, i oświadczyć kazał, że więcej jeszcze przyszle, jeśli tego zamało.

Koncept podobno przez kogoś powtórzony ze smolarzem, którego za karę, że zbierał z ziemi raz sprzedaną smołę, przeciągnięto przez beczkę i osypano pierzem — jak wiele innych w podobnym rodzaju, jest również niezaprzeczoną własnością pana starosty Kaniowskiego.

— Unikaj towarzystwa tych, których zwyczajem jest mówić źle o drugich; jeżeli tej rady nie usłuchasz, to i tobie łatkę przypną

— Chociaż ubóstwo nie zawsze jest oznaką lenistwa, pokazuje wszelakoż, że gdzieś klepki brakuje.

— Pieniądze stracone możesz odrobić, ale czas stracony już się nigdy nie powróci.

POKOJ TORUŃSKI.

Napisał Piotr Zbrożek.

Ciąg dalszy.

Już trzeci dzień minął, odkąd Kopernikowie, ojciec i syn, wyszli, by połączyć się z ludem powstającym przeciw niewoli niemieckiej. Ojciec był dłużej za domem, lecz zawsze wracał po kilka razy dziennie, by córkom dodawać odwagi i opowiadać co się dzieje w mieście. Trzeciego dnia i on spóźnił się do dzieci. Rano wyszedł, nie był na objedzie.... co się z nim dzieje? Broń ludowi wydano o dzień wcześniej niż było zapowiedziane, snać postawa nieprzyjaciół musiała zmusić do pospiechu. Równocześnie z bronią chorągwie znalazły się w rękach powstania. Od trzech dni brat na czele uzbrojonych mieszczan oblega zamek toruński. Tam bronią się wojska krzyżackie.

Nie muszą być zbyt silni krzyżacy, jeżeli swoim żołnierzom nie przysłali pomocy.

Tak gwarzą niespokojne Kopernikówny, jak dwa gołąbki przytulone do siebie.

— Żeby choć ojciec przyszedł powiedzieć, co się dzieje w mieście! — mówiła Anusia.

— Przyjdzie! – pocieszała ją Marynia. — Przyjdzie i przyprowadzi Henryka, bo przecie już trzeci dzień szturmują do zamku, zapewne go zdobędą.

— Głową muru nie przebije — wtrąciła Anusia.

— Głową ludzką nie; ale kulą żelazną z armaty mur rozkruszą.

Jakby na potwierdzenie słów ostatnich zatrząsł powietrzem huk działowych strzałów, zabrzęczały okna; dziewczęta zadrżały i przytuliły się silniej do siebie Zwolna i z hukiem się oswoiły.

— To nasi burzą zamek! – ozwała się Marynia.

— Ach, Boże! zachowaj naszego ojca i brata.... Tam i krzyżacy z zamku do naszych strzelają!

— Pan Bóg sprawiedliwy, Bóg kule nosi, On z nami!

— Ale kula zabić może i najsprawiedliwszego!... Chodź, Maryniu, będziemy się modlić.

Poszły. Klęczą przed krzyżem, znakiem zbawienia, pochylone jak dwie tęcze nad krynicą. Rozmodlone. I jakby od ich słów nabożnych przycichają strzały. — Wiosenne słońce z nieba ustępuje. Za niem pędzą czerwone i złote chmurki, a na ziemię ścielą się czarne, ciche cienie. Niejedna głowa zmęczona już spoczywa, niejedne ręce spracowane opadną i zamkną się znużone powieki; ale dwie siostry po modlitwie wstały, zapaliły olejne lampy i jak ptaszki przed burzą tłuką się niespokojnemi myślami. Gdzie ojciec?... gdzie brat?

Nagle za oknami wrzawa nieopisana rozległa się wśród ulic miasta. Mieszają się krzyki ludzkie i trąby wojenne. Biegną do okna siostry. Na oknach blask czerwony od łuny rozlanej po mieście. Biały blask pada na ściany kamienic, sypie się ulicami, oblewa krzyczące tłumy, jasno jak w dzień. Poprzed domem Kopernika przechodzą z bronią oddziały powstańców, widać chorągiew czerwoną z białą jaszczurką. „Niech żyje wolność!" z tysiąca piersi wołają. Wojsko idzie do ratusza. Pomiędzy zbrojnymi, bez broni postępują krzyżacy, pobici, zabrani w niewolę. Mieszczanie zamek zdobyli i zapalili wieżę. Ona płomienna, gore jak pochodnia olbrzymia; jasnym, prostym słupem strzela ogień ku niebu i oświeca miasto. Nikt pożaru nie gasi. Umyślnie zapalony jako umówiony znak zwycięstwa.

Po całej pruskiej ziemi, po całem państwie zajętem przez Niemców krzyżaków na widok zapalonej wieży w Toruniu buchną płomienie po górach, po pagórkach, a lud pozna początek zwycięstwa i porwie za broń i wszędzie będzie obalać niemieckie panowanie.

Późno wieczór wrócili z ratusza Kopernikowie do domu, szczęśliwe siostry witały ojca i brata jakby po długiem rozstaniu. Przypatrywały się Henrykowi i pytały, czy nie ranny.

— Zdrów jestem zupełnie, drogie siostry. Niejedna kula przeleciała mi nad uchem, niejeden nieprzyjacielski pałasz zamierzał się na moję głowę, ale Bóg mię strzegł i wasze modlitwy.

— Jutro się rozmówicie — rzekł ojciec — teraz dobrej nocy życzę wam dzieci, idźcie spać.

— Prosimy ojca na wieczerzę; sameśmy także nie jadły, a i Henryk musi być głodny.

— Dziś tyle szczęścia przeżyłem — miękkim głosem odezwał się stary, — żem prawie zdziecinniał, a pewnie odmłodniałem. Jeść zapomniałem i sen mię odleciał.... Dzieci, jesteśmy wolni! „Wolni!" ten wyraz gra mi w duszy jak najpiękniejsza muzyka, i upaja, bom się zestarzał w niewoli i posiwiałem, patrząc na straszne męczarnie, które wróg nam zadawał przez tyle lat dzień po dniu.

— Ja byłem niewolnikiem, w starości zostałem wolny, a wy dzieci, wy wolnością żyć będziecie ciągle.

— Chcecie jeść.... pierwej niż o jedzeniu pomyślmy o wdzięczności: podziękujemy Bogu za wolność!

Poklękli. Kopernik, kupiec, pracowity mieszczanin, radny o sprawach najwyższych, wysyłający syna na wojnę o oswobodzenie ojczyzny, teraz jak kapłan natchniony modlił się głośno, bo dusza przepełniona radością, cichości znieść nie mogła.

— Przyjdź królestwo Twoje! Wolność na ziemi, to królestwo Boże! Święć się imię Twoje, Panie, boś nas podniósł na swobodę. Daj wolność wszystkim narodom, aby Cię jak my chwaliły!

Te słowa w duszy powtarzały dzieci. Ojciec, skończywszy je, wstał.

— Teraz chodźcie do wieczerzy. Jutro cały Toruń obchodzić będzie święto wyzwolenia; wszystkie kobiety i moje córeczki ubiorą się w białe sukienki; po nabożeństwie pójdziemy oglądać ruiny zamku, wczoraj groźnego, napełnionego nieprzyjacielską bronią i wojskiem, dziś w prochu, kupa gruzów i kamieni.

Wśród tych słów szli do drugiego pokoju, gdzie była zastawiona wieczerza.

* *
*

W czternaście dni po powstaniu Torunia, już mnóstwo miast pruskich uwolniło się od jarzma niemieckiego.

Pruscy powstańcy panują w miastach zdobytych, najwyższy rząd na ratuszu w Toruniu. Tam posłowie z wolnych miast spieszą z doniesieniami, odbierają rozkazy. Przed dwoma tygodniami jeszcze byli panami nad tą ziemią krzyżacy niemieccy, teraz im w oczy rzucają przekleństwa i pędzą mieczem i ogniem.

Długie lata jeszcze wojowali Prusacy z Krzyżakami.

Lecz Prusacy nie byliby zwalczyli Krzyżaków, gdyby nie król polski Kazimierz, który także wypowiedział wojnę krzyżakom. Powstanie wszędzie wybuchło. Ale nie zawsze szczęściło się Polakom, bo pod Chojnicami zostali pobici, wojska powstańców to zwyciężały, to przegrywały. Najgorzej im szło pod Malborkiem; w Malborgu, najsilniejszej twierdzy, zamknęli się krzyżacy. Nasi szturmują do zamku, jeśli go wezmą, krzyżakom prawą rękę odejmą.

Nie łatwo zdobyć takie mury; choć nasi śmiało nacierają, do murów, ciągły ogień armatni ich odgania. Ognia się nie ulękli, lecz po klęsce pod Chojnicami wiadomość prędko przyleciała do Malborga. Wiedzą już o niej niemcy w mieście, wiedzą i nasi pod miastem. Król przegrał, wojsko nasze pobite, te słowa powtarzają polscy wojownicy, a od tych wyrazów ucieka odwaga, smutek widać w oczach najdzielniejszych rycerzy. Nie ma nikogo, ktoby silnym głosem umiał pocieszyć, umiał na nowo obudzić męstwo. Nie było głowy, więc trwoga napełniła serca. Rozsypało się wojsko pod Malborgiem, Krzyżacy otwierają bramy miejskie. Z radością wprowadzają do miasta działa zostawione przez wojsko królewskie.

Zwycięzcy zabrali kilka innych miast, już przedtem uwolnionych, a nawet zuchwale zapędzili się pod Toruń, lecz stąd musieli odejść ze wstydem.

Drugiego roku król nowe wojsko zebrał w Polsce i znowu do Prus wyruszył. Teraz w inną stronę kieruje, chce zająć twierdzę Łaszyn.

I ta wyprawa zmarniała. Rozzuchwalili się nieprzyjaciele, ale Prusowie łamali się z nimi od stu lat, więc choć się królowi nie wiedzie oni wytrwają. Bajzenowie, Ezegen-

berger, Szwewe, miasta Gdańsk i Toruń trzymają na swoich barkach walkę, gdy Polska armia pobita.

— Weźmy Toruń, mówili niemcy, a i Prusacy stracą odwagę.

Łatwo powiedzieć, weźmy, ale Torunia zająć nie łatwo. Przecie znaleźli się odważni śmiałkowie między krzyżakami, którzy postanowili wykonać tak trudne dzieło.

Przebrani za chłopów poszli piechotą do miasta, tam po kilku się rozsypali i starali się lud zniechęcić do dalszej walki.

* *
*

Co się tam znowu stało w spokojnym Toruniu, jakby z pod ziemi wyroiło się mnóstwo ludzi i płyną ulicami? Wrzawa niewesoła, ale groźna, jak burza, napełniła powietrze. Słychać tylko głosy wyrwane z tej burzy: Na ratusz, na ratusz!

Najgłośniej krzyczą ci krzyżacy, którzy przebrani przed kilku dniami weszli do miasta. Chodzili po szynkach i po sklepach, częstowali ludzi za własne pieniądze i narzekali, że wojna już dwa lata niszczy Prusy, a nie ma końca. Kto wie, mówili może rada królewska przekupiona, może tak jak niegdyś Jan Bajzen był zdradził, może i teraz odstąpił dobrej sprawy. Trzeba zrobić porządek, trzeba zmienić radę miejską.

Jak zaczęli tak gadać i chodzić, i rozpaczać, tak zburzyli najspokojniejszych nawet, że już ich słowa powtarzano wszędzie i każdy się zastanawiał, czy rząd kraju nie zdradza. Gadaniny powtarzano z początku po domach, potem rozprawiano głośno na ulicy. Do rady miejskiej dochodziły wiadomości o tem, co się dzieje, ale nikt się nie tłómaczył, aż tłumy uliczne przyciągnęły pod ratusz, aby się dowiedzieć, co powie rada miejska.

Przed ratuszem stał oddział miejskich pachołków. Oni powstrzymali zbiegowisko.

— Czego chcecie? pytali.

Jeden z przebranych krzyżaków przystąpił i rzekł:

— Chcemy broni, aby wypędzić z Prus krzyżaków, bo nas panowie zdradzają.

— Jak śmiesz ty śmiałku, mówić o zdradzie, jeżeli nie masz przekonania, krzyknął pachołek.

— Ja mam przekonanie, wszyscy o tem wiedzą, krzyczał ów przybysz.

— Nie krzycz, cicho!

· Muszę krzyczeć, bo zdrada!

— Zdrada! zdrada! powtórzono w całym tłumie i posunięto się naprzód. Pachołkowie nie puszczają, rozpoczęła się krótka bójka, tłum przeważył i wlał się do ratusza. Wpadli do sali, gdzie byli radni zebrani.

— Precz stąd! precz! za drzwi! za drzwi! wrzeszczeli i cisnęli się. Radni ustąpili, wypędzono ich z ratusza.

— Wypędzić ich z miasta! wołano w tłumie.

Zaledwie ktoś to wyrzekł, zaczęło się zbiegowisko posuwać, wrzeszcząc przez ulice ku bramom miejskim i wypędzili radnych. Pomiędzy wypędzonymi był także stary Kopernik.

Teraz ci przybysze krzyżaccy poprzebierani zasiedli jako rada w ratuszu, ale nikt ich jeszcze nie słuchał, bo rozzuchwalone tłumy rzuciły się w miasto na zniszczenie domów mieszczan poważniejszych, a szczególnie wypędzonych radnych. Domy i sklepy pozamykały się przed nimi. — Noc przerwała szaloną robotę. C. d. n.

Przy ślubie. — Michale — pyta ksiądz — masz mocną a nie przymuszoną wolę, tę Agniszkę, którą tu przed sobą widzisz, za małżonkę sobie pojąć?

— Proszę jegomości — przerywa mu Agnieszka — czy on chce, czy nie chce, o to nie chodzi — on może być rad, że ja go biorę, bo on niema nic, a ja mam trzysta talarów i krowę!

Bierzmowanie. Na pewnym okręcie przysiadł się do pobożnego wojaka kulturnik, i zaczął dowcipkować i naśmiewać się z jego wiary. W końcu rzekł: „Ojciec św. pewno ci też pozwoli mszę odprawiać i spowiedzi słuchać?"

Wojak (z zimną krwią.) „O! on mi pozwolił jeszcze więcej, np. bierzmować!" Przy tych słowach uderzył kulturnika w twarz i jaknajspokojniej usiadł. Kulturnik schwycił się za policzek i już ani słowa nie mówił.

Prawdziwa umiejętność jest droższa nad bogactwa; majątek może pójść z dymem a umiejętności nikt ci wydrzeć nie zdoła.